

Z problemów humanizacji pracy

Kontynuując problematykę podjętą w artykule „Humaniszczy w fabryce”, publikujemy kolejny artykuł red. Zdzisława Kozioła traktujący o polskich eksperymentach w zakresie humanizacji pracy. Niektóre inne problemy humanizacji pracy, przedstawi autor w kolejnych numerach „Widnokragu”.

Zagadnienia te są, naszym zdaniem, szczególnie ważne dla woj. rzeszowskiego, w którym powstał już i nadal rozwija się nowoczesny przemysł; troska zaś o człowieka w pracy i poza pracą czy prawidłowe kształtowanie stosunków międzyludzkich jest przecież w socjalizmie zagadnieniem pierwszoplanowym.

Proponujemy, aby na te tematy wypowiedzieli się czytelnicy: robotnicy, inżynierowie, lekarze zakładowi oraz aktywiści partyjni, związkowi i samorządów robotniczych, a także dyrektorzy przedsiębiorstw i instytucji. Nadesłane nam listy będziemy publikować bądź też zawarte w nich wnioski i postulaty prześlemy zainteresowanym władzom czy instytucjom.

Listy prosimy kierować pod adresem redakcji „Nowin Rzeszowskich” („Widnokrag”) z dopiskiem na kopercie „Humanizacja pracy”.

REDAKCJA

ZDZISŁAW KOZIÓŁ

PEWIEN DOMOROSŁY SOCJOLOG zapytywał w ankiecie: „Czy stosunki w waszym zakładzie są zhumanizowane?” Jedną z odpowiedzi brzmiała: „Zakład jest już zhumanizowany z wyjątkiem wentylatora i personalnego”. Nie jest to bynajmniej anegdota zmyślona. Pewne terminy robią błyskotliwą karierę; ostatnio używa się i na pewno nadużywa określeń: stosunki międzyludzkie i humanizacja pracy.

Teoretycy i praktycy sformułowali już wiele definicji, często przeciwstawnych. W miejsce definicji, zacytujmy wypowiedź: „Jeśli społeczeństwo socjalistyczne nie zdola zorganizować pracy tak, ażeby stała się ona przyjemną, to sprawą skończy się niepowodzeniem”. Autorem tych słów jest J. Marchlewski.

W Polsce problematykę humanizacji pracy podjęli teoretycy i praktycy. Te dwa nurty rozwijały się mniej więcej równolegle, co pozwala już mówić o polskich eksperymentach w zakresie humanizacji pracy. Przedstawimy tylko niektóre z nich, mając na uwadze potrzeby praktyki, szczególnie na naszym terenie.

W jakich warunkach praca staje się przyjemnością lub przynajmniej daje zadowolenie, które są ważnym bodźcem, a przez wielu przełożonych niedocenianą podstawą sukcesów jednostek i całych zespołów. Na niektóre tylko aspekty tego bardzo złożonego zagadnienia zwracalem uwagę w artykule „Humaniszczy w fabryce” („Widnokrag” nr 43) pisząc o ciekawych doświadczeniach Huty „Stalowa Wola”.

Pod wieloma względami Huta „Stalowa Wola” jest w woj. rzeszowskim wyjątkiem; zakład wprowadza w życie pewne zalecenia nauk humanistycznych: socjologii i psychologii oraz nowej, szybko rozwijającej się w Polsce dyscypliny — ergonomii. Pierwsze w Polsce zakładowe programy humanizacji pracy pojawiły się znacznie wcześniej, np. w warszawskiej Wytwórni Wyrobów Plastikowych i Gumowych „Plast” eksperyment ten podjęto przed pięć laty.

Doświadczenia „Plasta” są godne uwagi; eksperymentem zainteresowała się również Polska Akademia Nauk. Opracowując zakładowy program humanizacji miało na uwadze wydajność pracy, o której decyduje postęp techniczny, organizacja pracy oraz człowiek.

To były niejako założenia teoretyczne, które przedstawiłem skrótkowo. A realizacja? Nie będę pisał o tak elementarnych sprawach jak kolor ścian i zsynchronizowane z nimi oświetlenie, co ma poważny wpływ m. in. na samopoczucie człowieka. Wspomnę tylko, że przystosowanie otoczenia do człowieka dokonały zespoły specjalistów m. in. lekarze oraz plastycy — profesorzy uczelni artystycznych.

Eksperyment podjęto w specyficznych warunkach; poprzednie kierownictwo zostało skazane za marnotrawstwo, korupcję i kradzież. Mianowani na ich miejsce ludzie musieli zdobyć zaufanie załogi. Dyrektor zakładu Mieczysław Kucelski mówiąc o eksperymencie na jednym z sympozjów wysunął powszechnie znana tezę że o zaufaniu decyduje więź z pracownikami, twierdził, że kierowanie przedsiębiorstwem ułatwia zbliżenie z załogą. Prawda to

siaduje w więzieniu?” Dyrektor Kucelski przewidywał, że jeśli zakład będzie prawidłowo funkcjonował, jeśli stosunki międzyludzkie ułożą się na zasadach wzajemnego zaufania, to pracownicy nie będą zwracać się do niego w sprawach nie wymagających decyzji bądź rady dyrektora naczelnego. Przecież w zakładzie są kierownicy niższego szczebla czy wybieralni przed stawiciele załogi. Drzwi w „Plasście” są nadal otwarte, lecz pracownicy nie nadużywają czasu dyrektora.

M. in. dlatego, że w Wytwórni właściwie zorganizowano informację — przekazywanie wiadomości od kierownictwa do załogi i odwrotnie. Każdy pracownik jest zorientowany o realizacji dekadowych zadań przez przedsiębiorstwo. Zna także treść narad kierowniczego kolektywu, które są nagrywane na taśmie magnetofonowej, a następnie odtwarzane w poszczególnych wydziałach. Warto podkreślić wychowawcze aspekty tej praktyki; atmosfera jawności ogranicza do minimum tzw. informację nienormalną, często zdeformowaną („jedna pani powiedziała drugiej pani”). W „Plasście” nawet rozdzielanie mieszkań odbywał się jawnie, ubiegający się o przydział przysłuchiwali się obradom komisji!

Skoro już mowa o wychowawczych stronach tego eksperymentu, wspomnę jeszcze o karach. W przedsiębiorstwach kary sypią się jak z rogu obfitości; bywa, że kary administracyjne otrzymuje w roku połowa pracowników, a w jednym z wydziałów Huty im. Lenina aż 70 proc. załogi.

W „Plasście” nie pobiła się złodziejom; za kradzież zwalnia się „z paragrafu”; natomiast za inne przewinienia kary tej zaniechano. W stosunku do pijaków zastosowano oryginalną, choć może kontrowersyjną metodę wychowawczą; za pierwsze tego rodzaju przewinienie pracownik proszony jest, aby piśmiennie zadeklarował stużetową składkę na fundusz budowy szkół i siłowni. Za drugie — stawka jest

CIĄG DALSZY NA STR. 2

WITOLD SZYMCZYK

RADOŚĆ... PRZEZWYCIEŻA ZNUŻENIE

DOJADŁO MI TO wszystko. 8 lat takiej roboty można dojeść. Marzę o tym, żeby się stąd urwać.

Człowiek, który mi to mówi siedzi na tle oszklonej szafy, w której na wszystkich półkach, a także na wierzchu, bo na półkach zabrakło miejsca, stoją liczne puchary, statuetki, nagrody za osiągnięcia w pracy, za zajęcie czołowego miejsca na ogólnopolskich, wojewódzkich czy związkowych imprezach kulturalnych, nie mówiąc już o dyplomach ułożonych stertą jeden na drugim. Mówi to w jednej z największych placówek kulturalnych naszego województwa — w Zakładowym Domu Kultury Huty „Stalowa Wola”.

Władysława Bobka znam od wielu lat, jeszcze z okresu zanim zamienił dziennikarskie pióro na dyrektorski fotel i wszystkie siły oddał swej nowej pracy.

Nie był wtedy sam i nie musiał zaczynać od nowa. Miał do dyspozycji doświadczonych i oddanych pracowników, a jego poprzednik zostawił placówkę w stanie rozkwitu. Mimo to 8 lat jego „rządów” to nie tylko utrzymanie ale rozwiniecie i wzbogacenie tamtego dorobku.

Mocną stroną stalowowskiego Domu Kultury była ongiś praca kulturalna. Tutejszy zespół teatralny kierowany przez Józefa Żmudę zdobył sobie zasłużoną sławę ciekawymi spektaklami, zespołowi żywego słowa przewodził aktualny spiritus movens rzeszowskiej „Meluzyny” Erazm Buchelt. Dużą popularnością cieszyły się inne zespoły. O ich dodatnim wpływie na rozwój gustów i upodobań tutejszej publiczności świadczyła reakcja tejże na występy estradowe przeróżnych (na ogół bardzo słabych) wędrownych zespołów „Artosu”. W Stalowej Woli nie miały one po prostu czego szukać. Na występach zespołów DK sala była pełna, na artosowskich — świeciła pustką.

I dziś sława stalowowskich zespołów nie przygasła. I teatr, i zespół pieśni i tańca „Lasowiaczy” cieszą się zasłużoną popularnością. Ogółem wszystkie zespoły dały w roku bieżącym 84 występy dla 39 tysięcy widzów. Obecnie jednak DK w Stalowej Woli ma opinię placówki, która nie rezygnując z sukcesów artystycznych główny nacisk kładzie na działalność oświatową i ma na tym polu interesujące osiągnięcia.

— Czy mógłbyś powiedzieć coś na ten temat, Władku?

— No cóż, są to — jak nazywasz — osiągnięcia, które spędzają sen z powiek. Wiesz, że na sukces w pracy oświatowej nie składa się pojedynczy, udany odczyt, czy interesująca wystawa, decyduje tutaj ciągłość i systematyczność imprez, stałe oddziaływanie na uczestników. Nielatwo to osiągnąć i trzeba bezustannego napięcia w pracy.

— A jak przedstawia się jej organizacja?

— Jest ona uwarunkowana adresem, pod jaki ją kierujemy. Zespół ludzi pracujący w Domu Kultury, a także tych z zewnątrz, którzy z nami współdziałają ma niejedno, ale kilka pól działania. Jednym z nich jest gmach, w którym się znajdujemy. Drugim — sam zakład, jego wydziały; trzecim — hotele robotnicze, czwartym — szkoły zawodowe, jeszcze innym — wsie zamieszkałe przez pracowników huty.

— Naprawdę budująca wielokierunkowość...

— Dla nas jest to przede wszystkim konieczność. Po pierwsze: gmach DK aczkolwiek całkiem okazały ma za mało pomieszczeń i to właśnie do pracy oświatowej, po drugie zaś wyjście ludziom naprzeciw, dotarcie tam, gdzie pracują czy mieszkają, ułatwia kontakt i całą pracę. Chociaż — co jest całkiem zrozumiałe — wymaga z naszej strony zwiększonego wysiłku i zabiegów organizacyjnych.

— I to właśnie tak ci dojadło?

— No, raczej tylko częściowo. Widzisz, życie żąda od nas ciągle czegoś nowego i lepszego, a nasze siły i środki, jakimi dysponujemy są te same co 8 lat temu. I dlatego, żeby sprostać potrzebom, musimy nadrobić właśnie energią. Podniesienie ogólnego poziomu kulturalnego, rozwój czytelnictwa, kina, telewizji, powoduje, że dziś nie łatwo komuś zaimponować. Ludzie, którzy mają w telewizorze komentarz na tematy międzynarodowe Grzegorza Jędruskiego czy Małcużyńskiego, chcą mieć podobną indywidualność na odczycie w Domu Kultury. Domagają się też od nas sprowadzania takich właśnie ludzi: artystów, aktorów, dziennikarzy itp.

— I sprowadzacie?





CECYLIA BŁONSKA MIEJSCE DLA JUBILATKI

40-lecie pracy artystycznej
Stanisławy Ryłskiej



Gwiazda poznańskiej rewii — r. 1932

...Właśnie ta pedantyczna dbałość o swój wygląd, starannie ułożona fryzura, dyskretnie umalowana twarz, zawsze modny kapelusz i to wszystko już przed godziną 8 rano, podczas zakupów czynionych do zwyczajnego śniadania, zdradza aktorkę. Wrażenie to pogłębia głos ładny i dźwięczny, owo „dzień dobry” życzliwie i chętnie rozdzielane mnóstwu znajomym, w sposób bardzo sympatyczny, przypominające sceniczne pozdrowienie... Takie są nasze powszednie spotkania z Jubilatka panią Stanisławą Ryłską, artystką Państwowego Teatru im. W. Sienkiewicza w Rzeszowie, obchodzącą dzisiaj uroczyste 40-lecie pracy artystycznej. Od r. 1949 związana z naszą sceną ma w mieście wielu przyjaciół rekrutujących się spośród stałych bywalców teatru i z tych, z którymi styka się na co dzień w sklepie, w stołówce, w bibliotece.

40 lat to szmat czasu, ale pani Stanisławie, jak każdemu młodziemu swemu zawód, wydaje się to okres niedługi. No, bo przecież to było tak niedawno: rodzice wysłali ją na wakacyjną kolonię, gdzie jako 14-letnia dziewczynka na zaimprovizowanym przedstawieniu zabyła w roli „królowej Księżycy” i już wtedy nie było kwestii — jak opowiada — że pójdzie na scenę. Więc kształciła się potem w konserwatorium, w szkole dramatycznej. Nie bez dumy pokazuje mi świadectwo z doskonałymi stopniami: z dykcji, deklamacji, gry scenicznego, same oceny bardzo dobre. Tacy mistrzowie, jak Miłowska lekcjami śpiewu, Burkaćka nauką tańca, utworowali młodzieżki aktorke drogę na zawodową scenę: debiutowała w operetce „Pajacyk” we Lwowie.

Operetka to specyficzna dziedzina artystycznego gatunku; obok szkolonego głosu, umiejętności tańca, niezbędna jest zgrabna postać, miły sposób bycia i... „dar” prezentowania toalet.

Na brak tych talentów Ryłska nie mogła narzekać. Wraz z grubym zwojem recenzji, teatralnych afiszy, ocalone z wojennego czasu, zachowały się jej fotografie. Aktorka w powłóczystej czarnej sukni gęsto przetykanej błyszczącymi cekinami, w złoczystych pamfoczkach, z znowu, niby wąż, ciasno owinięta polyskliwym szalem, na innym zdjęciu jako smukła amazonka w stroju do konnej jazdy — powabna Rickett... przez wiele lat błądziła na firmamencie polskiej operetki. „P. Ryłska jest zjawiskiem scenicznym niezmiernie pociągającym. Lekka, zwinna, ładna, głos ma wspaniały, świeży i śpiewa czysto, a mówi dobrze i wyraźnie” — pisze Gazeta Warszawska w recenzji z operetki „Wiktoria i jej huzar” (kwiecień r. 1931). Były to skąd inąd lata kryzysu, trudności finansowych przerażających siły wielkich teatrów, stąd też nadzieje na „kasowosć” operetek, na dochody z rozmaitych rewii z udziałem sławnych aktorów.

Malutkie afisze Lwowskich Teatrów awizujące od razu 3 spektakle, zawierają mnóstwo informacji o dodatkowych atrakcjach mających przyciągać widza. Tym bardziej w cenie był sukces Ryłskiej, gdy lwowskie sceny zapowiadały jej występy, gdy z kolei przez cały rok z warszawskiego afisza nie schodziło jej nazwisko.

Droga jej wiodła przez sceny stolicy, Poznania, Krakowa, Wilna, Łodzi, a po wyzwoleniu podjęła pracę w Olsztynie. Po premierze komedii Fredry „Dwie bliźny” recenzent stwierdza: „Miłą figurynkę z porcelany dała w swej roli Anieli niezawodna p. Ryłska”. Tam też kreowała rolę Maryny w „Kaśce Kariatydy” Zapolskiej, przechodząc do roli innego rodzaju.

W ciągu kilkunastu lat rzeszowskimi oglądali aktorkę w „Domku z kart” (Paniusia), „Intrydze i miłości” (Służąca Lady Milford), w „Balladynie” (Wieża biczka I), w „Kalinowym gaju” (Oksana Dawy-

diuk), w „Oстрым iyzurze” (Janina — pielęgniarka), w niezapomniałym przedstawieniu „Lasu” Ostrowskiego, a dzisiaj święci jubileusz w roli Matki we współczesnej sztuce polskiej „Za nasze winy i wasze”,

Wśród 100 ról, jakie w ciągu lat 40 odtwarzała, Rzeszowszczyźnie dała nie tylko swój aktorski trud, ale i społeczną pracę. W sporym archiwum aktorki ze zbiorów fotografii gwiazdy, wcale nie „kłóci się” plik innych dokumentów, a wśród nich zaświadczenie Ministerstwa Kultury z listopada r. 1945 stwierdzające, iż ob. Ryłska Stanisława udaje się w celach służbowych do Łańcuta i wzywające władze do udzielenia jej wszelkiej pomocy.

— Nie pozwalałam rabować i szabrować, wyklócałam się i zabiegałam, by zabyci pozostały na miejscu — w zamku, jako własność narodu.

W uznaniu za społeczną działalność, p. Ryłska posiada odznakę Tysiąclecia FJN i szereg dyplomów.

— Nie czuję się bynajmniej stara. Mogłabym znacznie więcej udzielać się społecznie w mieście, do którego jestem szczególnie przywiązana — zwierza się p. Stanisława, gdy nasza rozmowa schodzi na sprawy dnia codziennego — ale warunki mam ogromnie trudne. Mieszkam w tzw. hotelu aktorskim, przed moimi drzwiami kilkanaście razy dziennie przechodzi kilkadziesiąt osób, izba jest zawilgocona, moje największe marzenie to jakiś lepszy kąp.

(O staraniach w tym kierunku szeroko informuje mnie tow. Józef Jachowicz, sekretarz organizacji partyjnej przy Teatrze).

Zaczynam rozumieć, że p. Ryłska nie z rozkoszy bynajmniej tak wczesnym rankiem (wielokrotnie po wieczornym spektaklu) jest już na ulicy czy w sklepie. Jest warunki, brak spokoju nie pozwalają zaznać trochę należnego spoczynku. Tym bardziej szacunku godna wydaje się jej dbałość, schludność, wielka żywotność i życzliwość, jakiej nie skąpi swym młodszym kolegom, ich kłopotom.

I myślę, że wśród okolicznościowych gratulacji, jakie otrzymała w dniu dzisiejszym od aktorów, od swych sympatyków, trzeba Jej życzyć, by spełniła się tak przecież skromne pragnienie, które stawia w tej chwili ponad wszystkie inne. By

uzyskała owo upragnione, spokojniejsze, bardziej dogodne miejsce na ziemi — własny pokój, który pozwoli Jej żyć w zdrowiu, pracować i doczekać wśród nas... kolejnego jubileuszu.

Z problemów humanizacji

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dwukrotnie wyższa, za trzecie — jak wyżej. Dopiero po czwartym, kolejnym wyroczeniu pracownik przestaje być odczuwaniem i zwinnością z pracy.

Istotnym elementem humanizacji pracy w „Płacie” jest nowy podział pracy polegający na wprowadzeniu tzw. rotacji pracowników. Na Zachodzie utarło się powiedzenie: „Jeden pracownik — jeden ruch”. Nowoczesna technika sprzyja rozdrobnieniu poszczególnych operacji; „praca cząstkowa” jest monotonna, a tym samym uciążliwa i — jak wielu twierdzi — ogłupia pracownika, który jest skazany na wykonywanie tej samej czynności. Wyobraźmy sobie na przykład robotnika przez 10 lub więcej lat naciskającego prawą ręką dźwignię jakiejś maszyny. Jego kregoszp i prawą ręką są zdeformowane.

Ale jak się ustrzec negatywnych skutków tego zjawiska? W zakładzie, o którym piszę, wprowadzono masowe szkolenie załogi; pracownicy zdobywali cztery a nawet sześć pokrewnych specjalności, co pozwoliło na ich rotację, czyli po prostu pracowali kolejno na różnych stanowiskach roboczych. Zmiana stanowiska odbywa się co dwa tygodnie, a w specjalnościach trudniejszych — co miesiąc. Nie wnikając w szczegóły — innowacja ta wydatnie zwiększyła wydajność pracy, pokryła „straty” spowodowane szkoleniem załogi oraz niższą wydajnością w okresie wdrażania się w nową specjalność.

Gdyby któryś z dyrektorów chciał zapoznać się bliżej z tym eksperymentem, to informuję, iż Wytwórnia opracowała ekonomiczną analizę rotacji. A względy społeczne są też nie do pogardzenia, i to dedykuję w pierwszym rzędzie organizacjom partyjnym i związkowym oraz samorządom. Zdarza się bowiem, że w wielu zakładach po prostu chce się uniknąć kłopotów związanych z dodatkowym szkoleniem, mimo że np. w przemyśle chemicznym jest to bardzo potrzebne, gdyż wielu pra-

E. PARCHOMOWSKI



NIGDY NIE ZAGLĄDALIŚCIE ukradkiem w cudze oświetlone okna? Zdajesz sobie sprawę, że to nieładnie, ale nie możesz odmówić sobie tej małej przyjemności.

Helena Michajłowna, którą z pewnością nieraz widzieliście na ekranie, opowiadała:

— Kiedyś latem, podniosłam u drzwi frontowych zapałkaną wapnem kopertę, na której przeczytałam adres i nazwisko mojego sąsiada z bloku — malarza N. W jego mieszkaniu był remont i widocznie z resztkami tapety wyrzucono przyłapkiem list. Chciałam go z miejsca zwrócić, ale... List zaczynał się od słów:

— Drogi mój, ukoehany!

A następnie coś w rodzaju tego, że już cały miesiąc się nie widzieli, jak to ona tęskni, jak nie może bez niego... W ogóle liryka w najlepszym gatunku. Prawdę mówiąc nie bardzo rozumiem jak można w okresie 20 lat małżeńskiego pożycia zachować takie uczucie. Zawsze wydawało mi się, że żona tego N. jest troszkę nie z tego świata. Popatrzyłam, wyjechała służbowo, rozstała się na miesiąc ze swoim

ślubnym i zamiast cieszyć się z wyzwolenia od domowego jarzma i wiecznej tyranii mężczyzny, ona widzi, że nie może bez niego. Czuję, jak to mnie drażni. Pomyślałby kto — Romeo i Julia!

Postanowiłam nabrać sąsiada.

Tego wieczoru pokazałam mu list zakrywający wszystko prócz pierwszych paru linijek, w których nie było jego imienia.

Zapytałam: — Zna pan ten charakter pisma?

— Drogi mój, ukochany! — powoli przeczytał malarz i rzekł:

— To pisała Maria...

— Choć kobieta powinna dotrzymać kobiecych tajemnic — powiedziałam — zawsze jakoś bardziej sprzyjałam panu niż jej. List dostał się przypadkiem w moje ręce i pomyślałam...

Popatrzył na mnie żalonymi oczyma winowajcy, a potem potrząsnął głową i powiedział:

— Heleno Michajłowna, będę z panią szczery. Domyślałam się do kogo jest adresowany ten list. Dawno poć... Powiedziałem. I oto dowód...

Przestraszyłam się nagle. Sprawa stawała się zbyt poważna.

— Iwanie Michajłowiczu — rzekłam — niech pan tak nie mówi, ja zaraz wszystko panu wyjaśnię.

— Nie, nie — powiedział ostro. Proszę mi nie przerywać. Choć raz w życiu wypowiem się do końca. Masza mnie zdradziła. Ale ja, ja ją stokroć gorzej. To przynajmniej poważnie — „drogi mój, ukochany...”, a ja wszystko tylko z głupoty. Przedtem to ukrywałem. A teraz wszystko mi jedno. Może pani opowiadać to komu chcecie.

Nie, tego było za wiele.

— Iwanie Michajłowiczu, powiedziałam, ze strachem patrzę na sąsiada — proszę mi wybaczyć, ale zażartowałam. Ten list jest adresowany do pana.

Podaliśmy mu list. Odrzucił go i tępo popatrzył na mnie.

— Ach, tak... powiedział — zażartowała pani? Potem jednak wziął list z mojej ręki, wsunął go do kieszeni i nie żegnając się odszedł. Patrząc w ślad za nim myślałam o tym, co przed chwilą nagadał na siebie. To prawda, czy tylko samoobrona? Było mi głupio, tak jakbym skrzywdziła dziecko.

Od tej pory nigdy nie zaglądam w oświetlone okna.

Z rosyjskiego przełożył

W. SZYMCEK

owników musi przedwcześnie przejść do innej pracy z uwagi na zagrożenie zdrowia.

Warto dodać, że tym problemem sporo uwagi poświęca radziecka psychologia inżynierska. M. in., w ZSRR realizowany jest szeroki program szkolenia ogólnego i zawodowego załóg, dąży się do zapoznania robotników w miarę możliwości z całym procesem technologicznym lub przynajmniej z jakąś zamkniętą częścią. Poza względnie społecznymi ma to doniosłe znaczenie produkcyjne; np. nieobecny pracownik może w każdej chwili zastąpić inny, co przeciwdziała zakłóceniom w produkcji.

Zasada „jeden pracownik — jeden ruch” obliczona na maksymalne „wyżyłowanie” robotnika nie może mieć miejsca w naszym ustroju. A przecież społeczne skutki postępu technicznego, automatyzacji, są już i u nas widoczne. Ich przebieg zaś nie zawsze jest adekwatny do ustroju. Upowszechnienie wyników badań w tym zakresie jest zadaniem palącym.

Inny, również ciekawy program humanizacji pracy, realizowany w latach 1959—1963 w IX Oddziale NBP w Warszawie. Program ten zakładał taką organizację pracy, która umożliwi najwyższą wydajność przy najmniejszym wysiłku. Obok reorganizacji oraz poczynań zmierzających do ochrony zdrowia, szczególną uwagę poświęcono kształtowaniu osobowości pracowników. Nie będę się rozpisywał o przystosowaniu środowiska pracy do człowieka, a więc kolorystyce wnętrza, meblach, urządzeniu pokoi „po domowemu” oraz pokoju „relaksacyjnym” dla wypoczynku w przerwach czy też gimnastyce, którą uprawiał również dyrektor.

Dyrektor banku, Witold Kieżun, wprowadził dość śmiało reorganizację i decentralizację. M. in. przyjęto zasadę, że na jednego kierownika winno przypadać 13 pracowników (w radach narodowych stosunek ten kształtuje się 1:7). Choć banki należą do instytucji bardzo centralizowanych, to jednak dyrektor Kieżun odważył się przekazać około 60 proc. decyzji podległym

pracownikom, wychodząc z założenia, że wraz z kompetencjami wzrasta odpowiedzialność. I ci, których kompetencje w wyniku decentralizacji wzrosły byli krzewicielami dobrej atmosfery w instytucji.

Eksperyment ten był swego czasu szeroko popularyzowany, wobec tego darujemy sobie sprawy specyficzne dla banków. Warto natomiast uwagi są inne problemy. O dobrej atmosferze decyduje poczucie bezpieczeństwa w szerokim tego słowa znaczeniu; kierownictwo wspomnianego banku starało się stworzyć warunki, które pozwolą każdemu pracownikowi liczyć w każdej sytuacji na zakład, stąd m. in. troska o chorych i emerytów (uroczyście i serdeczne zeganie pracowników odchodzących na emeryturę, doroczne bale emerytów), oddanie do dyspozycji starszych lub chorych pracowników samochodów służbowych, by nie musieli „tuc” się przepelnionymi tramwajami jadąc do pracy lub domu. Dyrektor wraz z kierowniczym kolektywem składa każdemu pracownikowi życzenia z okazji urodzin, imienin, ślubu itp.

W trosce o zatrudnionych wprowadzono nowy system organizacji pracy: „wypełniłeś swój obowiązek — możesz iść do domu”, pracownicy zaś koncepcyjnie mogli po uzgodnieniu z przełożonym wykonać część zadań w domu. A więc dyscyplina świadoma; wypadki nadużycia zaufania były raczej sporadyczne.

Dyrektor Kieżun twierdzi: urzędnik boi się przełożonego. Uważa, że m. in. dlatego w instytucjach biurokratyzowanych nie ma krytyki. W banku tym wprowadzono „premiowanie” krytyki; wprowadził dyrektor spotkanie się z zarzutem, że popiera „rozrabiaczy”, ale zebrania przestały być martwe i nieme.

Eksperyment kosztował w ciągu 5 lat 1,1 mln zł (urządzenia wnętrza itp.). A efekty? Przyjmując wskaźnik wydajności za 100 w 1958 roku to w 1963 roku wyniósł on 153,3 przy praktycznie całkowitym zlikwidowaniu reklamacji (bardzo dużo uwagi przywiązywano do ułożenia poprawnych stosunków z klientami) oraz blisko 7-krotnym zmniejszeniu godzin nadliczbowych.

Przykład tego banku wskazuje, że i w pracy biurowej można sporo zmienić ku obopólnemu pożytkowi instytucji i pracowników. Wskazuje także na przemienne, często nawet większe aniżeli bodźce ekonomiczne, znaczenie bodźców moralnych.

Wspólną cechą powyższych eksperymentów jest ich niejako odgrone-

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

ELDORADO DLA NIEPOTRZEBNYCH

Prologiem jest obraz. Piękny w kolorze, drżący kolorem, niespokojny, zagęszczony, taki, który aktywnie anonsuje dramata, a przestrzenia sceniczną, niewypelnioną je s z c z e aktorem zmusza do prowokacji wyobraźni, przestając zewnątrz sens rzeczy w pojęcia. Nie ma w nim martwej rekonstrukcji przedmiotu, jest atak myśli, najpierw na pewno podporządkowanej dramatu, ale u progu zamysłu podporządkowanej najistotniejszej jego fragmenty rytmem scenograficznym.

Otwarta scena, z nieosiągalną dotychczas głębią, wciąga w zamyślenie nad „Dramatem bez tytułu” Słowackiego, wystawionym przez Teatr im. W. Siemaszkowej. Świetny repertuar, czy i świetne przedstawienie?

Odrzucam zupełnie świadomie całą filologiczną otoczkę, w jaką obrósł teatr Słowackiego; szczęśliwie czy nie, „Horsztyński” nie był podatny na interpretacyjne zabiegi filologów i trwał w cieniu Kordianów, Fantazy, Snów Srebrnych, choć wspólny miał z nimi rodowód. Toteż kiedy Solski przy okazji lwowskiego „Horsztyńskiego” z rozręzieniem wspomina, że włożył odtąd na przyszłość 40 lat do swego repertuaru kreację Horsztyńskiego, nota bene tak bardzo krytykowaną za naturalizm, nader rzadko miał okazję do niej powracać. Zaś powojenna historia „Horsztyńskiego” zaczyna się kalekim przedstawieniem Teatru Nowego w Łodzi, o którym tylko Csato miał odwagę przypomnieć, że warto byłoby dostrzec w tych rewolucjach i zgniliznie magnaterii je s z c z e ów mały dodatek: wielki dramat romantyczny...

Dramat władzy, dramat sumienia, dramat jednostki rozdartej między dumę a sumienie? — właściwie wszystko znalazło w „Dramacie bez tytułu” swoje miejsce. Myślę, że u Zdzisława Dąbrowskiego przede wszystkim dramat ginącego świata i człowieka, co przezwyciężając tę prawdę nie rozumiał jej wagi na tyle, by zdobyć się na czyn ostateczny.

Mordercza niemożność Szczęsnego Kossakowskiego, który wydumał swój własny świat i kurczowo zamknął się w nim, usypiając z płasku szafkę wielkiej indywidualności,

ci, rozwiewane za łada westchnieniem kobiecym, przy szeleście ostatniego płatka margerytki, wrzawą tłumy, jego psychozą — ta mordercza niemożność bardziej wypływała z nadmiernie wyostrowzonego intelektu aniżeli z rzeczywistej potrzeby czynu. Szczęsny hamletyzuje, ale jego być albo nie być tak bardzo przechyla się ku drugiemu członowi szekspirowskiej alternatywy, że właściwie dylemat czyni zbędnym. To są ciągle kategorie bardziej psychologiczne aniżeli polityczne i ja myślę, że Szczęsny polityki nie przeczuł, nie rozumiał. Był jej blisko znowu poprzez idealistyczne wyobrażenia o przeszłych czynach i w Horsztyńskim nie widział męża walczącego, lecz mit o bohatera, całą anegdotę bohaterstwa, dodajmy, tragicznego. Zapewne tak jak w Hetmanie Kossakowskim nie dostrzegaliśmy niebezpiecznego oportunisty, przyłoczony zewnętrzna powłoką rozterek magnata, wielkością ojca, który „podpiera spróchniały tron Stanisława”... „Śmiesznie jest kiedy syn ojca chwali” — powie. Boi się śmieśności ponad miarę, ale czymże wobec niej ten podziw ukryty, który wyzwolił miłość, kiedy zdrada już jest publiczna? Osmiennienie Szczęsnego tym „człowiekiem czynu” zda się być mocniejsze od skłonności ku dawnemu konfederatowi barskiemu.

Jest w „Horsztyńskim” zadziwiająco precyzyjnie przeprowadzona konsekwencja niemożności porozumienia się tych dwojga mężczyzn, którzy w sztuce nie spotykają się nigdy. Ojciec działa poprzez otoczenie i w tym jego taktownym omotaniu Szczęsnego jest wielka przebiegłość i... znajomość psychologii. Myślę, że tam w Wilnie, w ogniu walk, kłeski lub zwycięstwa, mogłaby się rozegrać ta wielka scena starcia dwóch racji, gdyby inaczej potoczyły się losy decyzji Szczęsnego. Kto wie, czy Słowacki nie obawiał się siłowości i niezdeterminowania swego bohatera w zetknięciu z niszczytelką indywidualnością Hetmana? Ale bawić się w przypuszczenia tu nie pora, choć, czy nie w nich przypadkiem tkwi siła tego dramatu, który nieczemu nie precyzuje, niczego nie eksplikuje, zostawia nas pełnymi wątpliwościami w szukaniu jednoznacznej prawdy?

Wiemy wszystko o Horsztyńskim, który jak „Bayard sans peur et sans reproche” podjął kiedyś walkę na śmierć i życie; nie wiemy zgoła nic o Szczęsnym: czy podjąłby taką walkę i co ważniejsze, co by z niej wyniósł dla siebie. Niepokoi nas od początku aż po owo „powiedz, wahająca się myśli co robić”, które jak monotony motyw muzyczny osiągnęło tu swój punkt szczytowy.

Rzeszowskie przedstawienie zaproponowało Szczęsnego w krasie niezdecydowania; Henryk Gońda, którego widziałam w tej roli, był Szczęsnym słabym, wahającym się, Szczęsnym — ironistą, Szczęsnym — nawet pięknoduchem. Kiedy w bardzo szekspirowskiej scenie z Ksińskim wychodzi ku nam w zwiewnych szarościach polski Hamlet romantyczny — nie ma w nim rozdarcia, jest ironiczne paniątko, zagrzebane w literaturze, obce współczesności i współczesnym nieokrzesancom. Złe to chyba, bo w scenie tej zamyka się przeciwieństwo wahań Szczęsnego, tak powierzchownie potraktowanego przez Gońdę. To była zresztą ta jedyna istotna niekonsekwencja Gońdy. Całą rolę bowiem przeprowadził precyzyjnie, niebanalnie. Wolny od niebezpiecznego patosu „skameralizował” bohatera, uowocześniając wyciszonym sposobem interpretacji racje tego pierwszego obywatela w kraju nieprzystosowanych. Jest to pierwsza rola tego interesującego aktora w teatrze Siemaszkowej o takiej wadze i ten przeskok od lecznych „drobiazgów”, które ma Gońda na swoim koncie wydaje się być dobrą wróżką. Gońda w „Dramacie bez tytułu” sprawdził swoje aktorstwo. I choć techniczne rozegranie szczegółu w części I było nie zawsze najlepsze, część druga Gońdę poprowadził bezbiednie, a sam finał zaserował przejmująco. Kiedy w blaskach przyszłego pożaru błękał się samotny w swojej bezradności oddał to czyhanie na decyzję kruchością sylwetki, przerażeniem własną niedojrzałością, gdzie już nie było miejsca na dumę i ironię, ale wielkie przeświadczenie o własnej nieprzydatności, o przegranej.

Wyeksponowane przez Dąbrowskiego trzy postacie: Szczęsnego,



Fot. J. OLMA

Horsztyńskiego i Hetmana koncentrowały na sobie całą uwagę. Horsztyński, którego grał Włodzimierz Saar zbudował postać zdecydowanie jednoznacznie, silną, pełną godności. Jego Horsztyński żył. Myślę, że to bardzo trudna rola, wykluczająca z góry gamę aktorstwa, ułożona na jednym tonie. Saar przemycił do niej — w ramach konsekwentnej jednolitości pewien niepokój romantyczny, płynący nie z legendy o bohaterstwie, ale z rzeczywistych niepokojów ludzi, którzy to bohaterstwo mają poza sobą nieodwracalnie, którzy nie stracili równowagi, ale mają chwile gorzkiej zadumy nad czasem teraźniejszym.

Zdzisław Kozień, który grał Hetmana, był tak bardzo ponad innych, tak bardzo ponosiła go rola, że aż dziw brał, skąd w tę pańskości przemycił tyle nutek plebejskich — nieokrzesanego warchoła, któremu dźwięczały bronowickie echa. Dominował, przytłaczał, ale n i e b y ł Hetmanem Kossakowskim.

W tym świecie trzech bohaterów płące mi się jedna rola bardzo piękna: Buratowskiego — Sforca. Cóż ten aktor z niej zrobił! To był Sforca tragiczny, opętany, Sforca — kwintesencja smutku żałobliwego, Sforca — kukielka szmaciana, której nieprzydatność w tym świecie była z pogranicza nieprzydatności Szczęsnego.

I dla dopełnienia obrazu: karzeł — Ireneusza Erwana — rola znakomita, ilustrująca dojrzały wachlarz środków aktorskich tego aktora.

Zmalaty w swojej urodzie sceniczej u Dąbrowskiego kobiety; ciche moje przekonanie przetrza winę za to na reżysera, którego zafascynował świat czynu i idei, nie świat afektów. I tak jak powiedziałam na wstępie: ważne dlań było to, co łączyło się z odejściem epoki świetnych magnatów, ważne dlań były dźwięki przyszłych zdarzeń i ważna ta dziwna postać Szczęsnego, rzucona na schyłek wieku jako zapowiedź tragicznej przyszłości. Stąd — i ta pełna dynamiki scena zbiorowa, w czasie której Szczęsny w paradnym mundurze powierza kartom los rewolucji i dwaj nieznajomi, co jak groźne memento przewijają się na zasadzie przerywników w jego historii — wszystko to jest podporządkowane naczelnym idei spektaklu; logicznej, czytelnej, może tylko zbyt mało konsekwentnej w części pierwszej, gdzie parę scen dostrzegłam jako urodziwe dla nich samych jedynie.

Wspomniałam na wstępie, że prologiem do „Dramatu bez tytułu” stał się obraz. Obraz ów to dzieło Kazimierza Wiśniaka — znakomite i tak bardzo współgrające z koncepcją Zdzisława Dąbrowskiego, że stanowi nieodłączny element spektaklu. Perspektywa krzesel-tronów, które nadszarpał zęb czasu i nieubłagnej historii, szczyt magnacki,

rozlatujący się na naszych oczach, zimne, nieubłagane obnażenie tego rozpadu, na którym rozpanoszyła się pleśń psuło mi tylko nadużywanie efektów zjeżdżających zastłon. Celowości ich nie neguję wszakże, bo jest taka scena — wynagrodzenie, która o niej przesądza: to wtedy, kiedy bohater szmaco się między mgłami przeznaczając a ze scenicznego au dela zjeżdżając z sykiem barwne strzępy szynonów, wśród których zapewne dokona się wybór; jest tak, jakby świadomość scenografa przesądzała o niemożności tego dokonania, jakby powtarzała swoimi środkami owo „Eldorado dla niepotrzebnych ludzi”. Myślę, że był to jeden z najpiękniejszych fragmentów przedstawienia, gdzie obraz dopełniał słowo; może nawet przewyższał je tragiczną intencją?

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Teatr im. W. Siemaszkowej: Juliusz Słowacki — „Dramat bez tytułu”. Reżyseria: Zdzisław Dąbrowski. Scenografia: Kazimierz Wiśniak. Muzyka: Janusz Ambros. Asystent reżysera: Zbigniew Bartoszek. Osoby: Z. Kozień, H. Gońda, W. Mancewicz, A. Dróżdź, W. Saar, J. Ulatowska, Z. Bartoszek, W. Trojanowski, W. Zawirski, I. Erwan, F. Buratowski, S. Nowakowska, B. Kłuzkiewicz, W. Mierzyński, E. Apa, Z. Zaremba, A. Girtler. Premiera 10 grudnia 1965 r.

Kronika filmowa

„LONDYŃSKA MGŁA” — 112 FILM SORDIEGO

Alberto Sordi nakręca w Londynie swój 112 film, w którym występuje w podwójnej roli jako aktor i reżyser. Film pt. „Londyńska mgła” opowiada dzieje skromnego antykwariusza w Perugii, zaprzysiężonego anglofila, od lat marzącego o odwiedzeniu W. Brytanii. Jego marzenia doczekały się realizacji; wkrótce jednak zostaje wysiedlony z Anglii jako niepożądany cudzoziemiec.

SILVANA MANGANO — CZAROWNICA

Silvana Mangano grać będzie główną rolę w filmie „Czarownice”, złożonym z trzech noweli reżyserii de Siki, Felliniego i Viscontiego. Silvana Mangano wystąpi w rolach „współczesnych czarownic” zasiadających przy kierownicach wozów sportowych i uczestniczących w zebraniach literackich.

NOWY FILM GODARDA

Jean Luc Godard rozpoczął w Paryżu nakręcanie filmu pod tymczasowym tytułem „Masculin — feminin”. Film stanowi swobodną przeróbkę noweli Maupassanta „La femme de Paul”. Jest to historia młodej śpiewaczki, która pragnie za wszelką cenę zdobyć engagement. Zachowanie się dziewczyny budzi zazdrość jej narzeczonego. Główną rolę grają: Jean — Pierre Léaud, który przeleży kilka laty jako młody chłopiec zdobył sukces w filmie Truffaut „Czteryście batów” oraz Chantal Goya, nieznana 19-letnia aktorka.

zaprogramowanie: przez dyrekcję przy współudziale czynnika społecznego, który spełniał rolę bądź partnera równorzędnego, bądź też pomocniczą. W jednym z przedsiębiorstw szereg istotnych zmian wprowadzono wbrew dyrekcji, z inicjatywą organizacji partyjnej. Przykład ten jest raczej niecodzienny, lecz bardzo pouczający.

Jest to zakład dynamicznie rozwijający się: wskaźnik wzrostu produkcji wynosił 40 proc. rocznie. Administracja dostrzegła produkcję, plan, traciła natomiast z pola widzenia człowieka. W jednym z zakładów tego kombinatu załoga w sposób kracicowy wyraziła dyrektorowi votum nieufności...

Rozwiązaniem konfliktu oraz całością stosunków międzyludzkich zajęła się organizacja partyjna przy pomocy instancji wojewódzkiej. M. in. pracownia socjologiczna przy KW PZPR pomogła rozpisac ankietę, której wyniki omówiono na zebraniu POP; w ankietach i na zebraniu wyknięto wie e uchybień, wskazano na niewłaściwą organizację pracy itp. Doszło do ostrej różnicy stanowisk między dyrekcją a KZ partii.

Odbyło szereg zebrań oddziałowych organizacji partyjnych, a Rada Zakładowa rozpisala konkurs nt. usprawnienia pracy poszczególnych stanowisk roboczych i w ogóle w zakładzie. Konflikt destrukcyjny przekształcił się w konstruktywny; załoga widząc, że jej postulaty traktuje się poważnie oraz, że są w zakładzie czynniki uwzględniające jej interesy — nie milczała. Komisja powołana do opracowania projektu programu nie mogła w terminie wywiązać się z zadania, gdyż wniosków zgłoszono nadspodziewanie dużo...

Podane przykłady są tylko ilustracją stosowanych w Polsce eksperymentów w zakresie humanizacji pracy. A dobieżać je uwzględniałem po szczerze stosowane praktyki, przy czym konfrontację tych przykładów z możliwościami poszczególnych przedsiębiorstw pozostawiam zainteresowanym.

ZDZISŁAW KOZIOŁ



MARIAN STROŃSKI — PRACA — OLEJ

Fot. A. HADAŁA

na wprost

Dawne dobre czasy

LUDZIE PO przekroczeniu pewnej granicy wieku, swojej „smugi cienia” — zaczynają obrażać się na współczesność i najpierw z aprobatą, a później z tęsknotą mówić o „dawnych dobrych czasach”. Nie zawsze ta idealizacja przeszłości ma charakter totalny, ale zawsze są te bułeczki, które kiedyś były smaczne i chrupiące, młodość, która kiedyś była wychowana i życie codzienne, które przed laty było łatwiejsze i spokojniejsze.

Często zresztą marzymy o tym, jak to „illo tempore” bywało, gdy zbyt zaczęła nam doskwierać nonsensy lub nielogiczność bieżącego życia, lub nawet drobne awarie w mechanizmie współczesnej cywilizacji. Trzeba po prostu mieć jakąś odskocznnię dla narzekania, coś dla przeciwstawienia naszym pretensjom do dzisiejszości.

Na przykład powszechnie i z satysfakcją narzeka się na naszą komunikację w okresie, trzeba to przyznać, bałaganu i dezorganizacji w pociągach i autobusach, które zwykle przypadają na czas świąt, mrozów i urlopów. Wtedy powiadamy, że kolej od stu lat nie usprawniła swej pracy, skarżymy się z goryczą, że wypadło nam stać na zimnie w korytarzu, że szyby powybijane, w ustępie brak wody, pociągi się spóźniają i w ogóle skandal i „porządk”. Dawniej pociągów nie było, a jakoś wszyscy zdążyli wszędzie dojechać.

A „dawniej”? W tych starych dobrych czasach skarżono się tak samo jak my. Oto relacja z podróży z Rzeszową do Sędziszowa sprzed lat stu zamieszczona w piśmie lwowskim „Nowiny”.

„Za przybyciem do Rzeszowa przejął nas wstrętem i strachem widok zaprzężonych nie 4 koni, lecz raczej kotów... Zamiast poczytłona ujrzelismy jakiegoś pastuszka gęsi, który nas w wątpliwość wprowadził czy będzie w stanie kierować końmi i powozem. Ruszyliśmy wolnym krokiem z miejsca o godzinie 3 po południu i szliśmy z początku, że to rzeszowski bruk jest przyczyną leniwej jazdy, lecz wyjechawszy za miasto ujrzelismy, iż nas wszystkie powozy mijają a konie nasze poruszają się żółtym krokiem. Latwo sobie wyobrazić naszą niecierpliwość, gdy żołądki nasze opatrzone szklaneczką kawy w Przeworsku były spragnione obiadu, który nam był obiecany w Sędziszowie. Mały woźnica używał wszystkich środków, machał bezustannie batogiem (istne perpetum mobile) to zsiadał z konia, to szarpał długim sznurkiem, który zastępował miejsce lejców, lecz to wszystko nie pomagało. Wreszcie postanowił nam raz dogodzić i gdyśmy z góry zjeżdżali zaciął konie i puścił lejca, nie hamując powozu (nie miał bowiem o tej maszynie zielonego pojęcia). Nasze więc podjeżdżki nie czując lejców, a uczuwszy zapach siano na łące, skręciły nagle w bok, powóz zmienił kierunek, potoczył się za końmi i leciał w przepaść... wtem usłyszeliśmy krzyk. Mały poczytłon nie mogąc powstrzymać pędu powozu uderzył sobą o słup telegraфа i zgruchotał nogę, a w tej samej chwili powóz stanął. Wyskoczyliśmy wszyscy jak jeden... byliśmy o 3/4 mili od Sędziszowa, wśród nocy, błota, deszczu na środku pościńca. Dyllano zakopał się w rów tak, iż bez pomocy ludzi i koni nie podobna go było wycofać...”

Wyobrażam sobie z jaką tęsknotą ci niefortunni podróżni wspominać musieli dawne czasy, gdy się podróżowało na koniu z jukami przy siodle.

Czy więc na pewno w przeszłości było gorzej pod każdym względem? Nie jestem tego zupełnie pewny. Narzekamy dziś często na brak rozrywek o charakterze masowym, na niedostatek imprez artystycznych. Tymczasem w roku 1854 w Krakowie, obok wielu koncertów i imprez teatralno-artystycznych listę widowisk publicznych dopełniały „diorama, ruchome pleorama, cyklorama, muzeum anatomiczne z 200 preparatami woskowymi, pokaz aparatów telegraфа elektro-magnetycznego, pokazy sztuk kuglarskich z aparatami i bez aparatów itd.

Czymże są wobec tego bogactwa nasze dzisiejsze „wesołe miasteczka”? Mówi się także dziś wiele o zagrożeniu wartości humanistycznych przez współczesną cywilizację. Narzekamy chętnie na brak szacunku dla osobowości i indywidualności człowieka, na lekceważenie kultury duchowej. Chętnie przeciwstawiamy wiek XIX naszej epoce. Posłuchajmy więc co donoszą wspomniane już „Nowiny”.

„Ostatnia wielka wystawa dzieci odbyła się w państwie Ohio, niedawno Cincinnati. Plakatem olbrzymim zajmującym do 40 stóp wysokości zaproszono wszystkich posiadaczy dzieci na tę wystawę... Sto dwadzieścia malców zebrali się w Springfield. Był to dzień jarmarku. Najpierw odbyła się wystawa bydła i narzędzi rolniczych. Potem 12 mężczyzn i 12 dam zasiadło jako komitet wystawy dzieci... Po tej wystawie nastąpiły gonitwy dam na koniu...”

Jak się wam podoba taki przejaw miłości do dzieci wystawianych zaraz po bydle i maszynach rolniczych? Oczywiście nagrodę otrzymały największe i najzdrowsze, czyli obowiązywały te same kryteria oceny jak na wystawie bydła.

Natomiast bardzo surowo i skutecznie zwalczano wtedy alkoholizm np. w mieście Tarnowie i to sposobem dość prostym. Korespondent „Nowin” zwał Ujścia Wistoki donosi, iż idąc kupić bilety ulicą Wałową spostrzegł zbiegowisko. Okazało się, że na drodze cesarskiej i ulicy miejskiej koń żywym jak był z chomaćem wpadł w kanał. Na moje zdziwienie — pisze korespondent — że w mieście cyrkularnym, pod okiem magistratu, żandarmerii itp. coś podobnego stać się mogło, odpowiedziano mi, że to magistrat umyślnie uczynił, ponieważ tyle się namnożyło pijaków, że im rady dać nie można, gdy zaś będą wiedzieć, że podobne samotrzaski na nich pozostawiano, porzucą brzydką naliąg i staną się porządnymi obywatelami miasta Tarnowa. Otóż widzicie — konkluduje korespondent — co można zrobić, jeżeli kto szczerze bezpieczeństwem i moralnością kraju się zajmuje”.

Chyba nasi zwolennicy napojów gorących nie mają powodu do tęsknoty za przeszłością. Nasze czasy są jednak bardziej humanitarne — proponujemy pijakom izbę wytrzeźwień nie kanał uliczny.

Stare roczniki czasopism stanowią pouczającą lekturę. Rozbijają skutecznie legendy i mity o złotym wieku przeszłości. Pokazują błędną, sensację i szarżującą codzienność tamtych wieków, w których ludzie również chętnie narzekali na swoją epokę i idealizowali dawność. Bo po przekroczeniu smugi cienia wstąpić w tęsknięcie tylko do dni naszego dzieciństwa i młodości. I tylko udajemy, że chodzi nam o konkretną sprawę. Ale czasem zaczynamy wierzyć serio, że nie było to jak za... I wtedy czytamy stare tygodniki, a wrócimy do równowagi i rozsądku.

JOTGIEL

WIDNOKRAG opowiada

„Sośnin”: Przesłana nam proza nie ma ani wartości artystycznych, ani dokumentalnych. Istotnie, jak pan pisze, występują w pańskiej „twórczości” raczej dobre chęci, bez pokrycia w możliwościach. Sądzymy, że nie warto się ludzi.

P. Roman L. — Sanok: Nie trzeba się niecierpliwić. Sądzymy, że po jakimś okresie wyteżonej pracy nad wierszami będzie Pan mógł debiu-

tować w prasie. Wiersz, który otrzymaliśmy jest świeży i ładny. Robi Pan ciagle postępy, ale jeszcze za wcześnie na druk. Proszę kiedyś przysłać nam większą ilość różnorodnych utworów, gdyż otrzymujemy stale pojedyncze wiersze, a to utrudnia ocenę i pełną orientację w Pana możliwościach. Niestety, nie możemy Pana skontaktować z p. J. K., gdyż nie posiadamy jego adresu.

R. F. — Krościenko Wyżne: Zanim się zacznie pisać wiersze, należy się nauczyć pisać w ogóle. Nie możemy, niestety, przyznać, że Pan się już nauczył. Nigdy jeszcze nie widzieliśmy tyłu błędów ortograficznych na jednej kartce.



TADEUSZ CIEŚLA — członek zespołu „Meluzyna” w Rzeszowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

Rozstrzygnięcie konkursu na odznakę „Zasłużony dla województwa rzeszowskiego”

Pod przewodnictwem rzeszowskiego artysty plastyka Zbigniewa Krygowskiego, reprezentującego Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków odbyło się w dniu 14 bm. posiedzenie sądu konkursowego, ogłoszonego przez Wydział Kultury Prez. WRN w Rzeszowie konkursu zamkniętego na odznakę „Zasłużony dla województwa rzeszowskiego”.

Spśród 10 plastyków z Rzeszowa, Krakowa i Warszawy, zapro-

szonych do wzięcia udziału w konkursie, 6 nadesiało 8 prac. Sąd konkursowy po dokonaniu oceny nadesłanych prac pierwszą nagrodę przyznał rzeszowskiemu artyście — Krzysztofowi Bukale (2500 zł) oraz dwie równorzędne drugie nagrody (po 1750 zł) Kazimierzowi Mierczyńskiemu z Sędziszowa i Adolfovi Jakubowiczowi z Rzeszowa.

Jedną z nagrodzonych prac Prez. WRN wotypuje do realizacji.

Radość przez zwycięża znużenie

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Oczywiście i mimo że następcą to mnóstwo pracy — o wizyte Wojciecha Siemiona zabiegaliśmy bliko 2 lata — wyniki takich spotkań są znakomite. To jest nie tylko atrakcja, ale także przekazanie wspaniałej wiedzy we wspaniały sposób.

— A Siemion... przyjechał?
— Cierpliwość czyni cuda — tak. Przyjechał i miał piękny wykład. Nie, nie o teatrze czy aktorstwie. O poezji. Wszyscy byli oczarowani, a nasz gość napisał nam o, popatrz...”

W księdze pamiątkowej czytamy: 16. V. 1965
Bardzo serdecznie dziękuję za tak ZNAKOMITE przyjęcie. Obiecuję solennie, że będę nie tylko pamiętał, ale przyjadę przyjadę przyjadę

Wojciech Siemion
Sprowadziliśmy także Jaszunskiego. Mówił o aktualnych wydarzeniach polityki międzynarodowej. Był u nas także pisarz Karol Bunsch. O problemach młodości mówił Manturzewski, a o piosenkach będzie mówił m. in. Irena Santor. Gościliśmy także, ale już na występie, zespół Teatru Narodowego z Warszawy, który po spotkaniach teatralnych w Rzeszowie zgodził się dać u nas przedstawienie sztuki „Uciekla mi przepióreczka” w reżyserii Dejmka.

Patrzę na autograf świetnego aktora i myślę, że napisanie słowa „znakomite” wersalikami ma swoją przyczynę. Sam mogłem obserwować stalowowolskich uczestników podobnych spotkań i zawsze byłem zdumiony ich chłonnością, i przyjmowaniem tego co im przekazywano. To jest możliwe nie tylko wtedy, gdy mówi ktoś taki jak Siemion czy Jaszunski, ale przede wszystkim wtedy, kiedy uczestnik takiego spotkania jest zainteresowany tematem prelekcji.

I tutaj chyba szukać należy przyczyn powodzenia różnych form pracy stosowanych w stalowowolskim Domu Kultury. Nie są one sżywne, jednakże, ale zmieniające się, dostosowane do potrzeb odbiorców.

Do niedawna np. działało tutaj studium wychowania estetycznego, które dawało swoim słuchaczom możliwość rozszerzenia wiedzy w zakresie teatru, filmu, muzyki, sztuk plastycznych. Odbywało się to nie tylko drogą wykładów i dyskusji, ale także poprzez wycieczki na wystawy, spektakle teatralne, koncerty i przez projekcje filmowe. Obecnie słuchacze studium przechodzą do innych zespołów — do koła miłośników teatru czy klubu dobrego filmu. Dziś, studium wychowania estetycznego to już szkoła aktywno kulturalnego, ludzi, którzy sami będą organizować działalność k.o.

Poza tymi formami, poza studium wychowania filozoficzno-socjologicznego (140 słuchaczy na 2 kursach) uniwersytetem dla rodziców, kółkami zainteresowań i kursami językowymi, Dom Kultury prowadzi młodzieżowy klub kultury „Niezapominajka”, „Klub Ciekawych” dla dzieci oraz 2 dyskusyjne kluby filmowe. Dodac do tego należy posiadającą 27 tysięcy tomów i 3500 czytelników bibliotekę. I to w mieście, gdzie pracuje doskonała, jedna z najlepszych w województwie biblioteka powszechna.

W ciągu 10 miesięcy br. zorganizowano w samej Hucie 3 wystawy malarstwa, które kolejno przewiodowały przez wszystkie wydziały oraz 31 odczytów w świetlicach wydzielonych. Bezpośrednio w zakładzie urządzono także 9 występów artystycznych (ZDK pamięta nie tylko o pracujących robotnikach; w tym samym czasie zorganizowano 6 występów artystycznych dla emerytów huty). W ciągu bieżącego roku wielokrotnie odwiedzano 4 podopieczne wsie, w których zorganizowano 28 imprez w tym 16 oświatowych. Opeka DK nie ogranicza się do tego. W jednej z wsi założono zespół teatralny i udzielono pomocy w przygotowaniu przedstawienia, innej podarowano wyposażenie dla klubu, w jeszcze innej założono punkt biblioteczny.

Dziesiątki imprez, w tym 35 odczytów, zorganizowano w hotelach robotniczych. Inne cyfry mówią o podobnych akcjach w szkołach.

— I to wszystko jest źródłem twego pesymizmu? Może zatem po-

zdarzenia tygodnia

W dniu 14 grudnia odbyło się w Przemysłu wyjazdowe posiedzenie zespołu do spraw narodowościowych Komisji Administracyjnej KW PZPR.

Podczas posiedzenia przedstawiciel Zarządu Powiatowego Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Przemysłu złożył informację na temat rozwoju pracy kulturalno-oświatowej w środowisku ukraińskim i zamierzeń na najbliższy okres.

W ubiegłą sobotę odbył się w Rzeszowie, koncert laureatów Festiwalu Chórów Amatorskich o Laur 20-lecia PRL, zorganizowany przez Wojewódzki Dom Kultury i Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych.

Na program koncertu złożyły się występy chóru mieszanego „Echo Górskie” z Dukli — dyr. K. Górecki, chóru męskiego „Hejnał” z Rozwadowa — dyr. R. Ciba, chóru mieszanego „Echo” z Krosna — dyr. T. Urbanek i chóru męskiego „Echo” z Jasła — dyr. J. Wiktorczyk.

Podczas imprezy wystąpiły również połączone chóry mieszane z Dukli i Krosna, chóry męskie z Jasła i Rozwadowa oraz kwartet męski z Rozwadowa. Z przyczyn technicznych nie wystąpił przewidziany w programie zespół estradowy z Rozwadowa. Organizatorów zdziwiła nagła decyzja o niewystąpieniu (obecnego już na miejscu) chóru mieszanego Zakładowego Domu Kultury WSK w Rzeszowie. Nas również.

Przebywający w Rzeszowie kierownicy zespołów wzięli udział w seminarium, zorganizowanym przez WDK.

Z okazji obchodzonego obecnie 15-lecia PTTK w woj. rzeszowskim w lokalu WKKFIT przy ul. Turklenicza w Rzeszowie otwarto wystawę fotograficzną — plon konkursu, ogłoszonego przez Zarząd Okręgu PTTK, Kuratorium Okręgu Szkolnego i Komendę Chorągwi ZHP w Rzeszowie (wyniki konkursu podaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Widnokragu”).

Zainteresowanych turystyką i fotografowaniem zachęcamy do obejrzenia wystawy.

W niedzielę, 12 bm. odbyła się w Dynowie premiera „Czarownej nocy” Sławomira Mroźka, wystawionej przez amatorski zespół teatralny OSP, w reżyserii Janiny Juraszkiej. Przy okazji nadmieniamy, że jest to zespół, któremu w ubiegłym tygodniu Centralna Komisja Koordynacyjna do spraw Upowszechniania Kultury przyznała nagrodę artystyczną za rok 1965.

wiesz, co uważasz za swój największy sukces, co sprawiło ci największą satysfakcję w ciągu tych 8 lat?

— Miałych satysfakcji jest dość dużo. Najbardziej jednak cieszy mnie, że udaje nam się praca z młodzieżą. Kontynuujemy ją z pomocą sojuszników w osobach nauczycieli i to co jest już zrobione rokuję nadzieje na przyszłość. Wychodzimy z założenia, że młodzież ta za kilka lat przyjdzie do pracy, do huty. Chcemy już dziś zatem kształtować przyszłych pracowników, wpływać na ich ogólny rozwój, na przygotowanie do przyszłych obowiązków, choćby tych pozaprodukcyjnych. Stąd właśnie nasza wspólna z nauczycielstwem praca wśród uczniów szkoły przyzakładowej, szkoły zawodowej i Technikum Mechanicznego. Stąd nasze wysiłki dotarcia do uczestników kursów przysposabiających do zawodu i działania w hotelach robotniczych. Problem humanistycznego wychowania przyszłych ludzi techniki jest dziś bardzo pilny.

Młodzież jest zresztą najbardziej wdzięcznym obiektem pracy. Kiedy rozręcałmy np. naszą akcję dla wsi, nie wszystko szło jak z płatka, napotykalismy nawet opory, tu i ówdzie trzeba było się wycofać. Znaleźć klucz do młodzieży jest znacznie łatwiej.

Przed moim odjazdem jeszcze raz z grupą przebywających tu na kursie kierowników zakładowych i powiatowych domów kultury zwiedzam gmach od piwnic do poddasza. Wszystkie pomieszczenia są zajęte. Mijamy sale ćwiczeń zespołu baletowego, pokoiki, gdzie trwają lekcje języków obcych, bibliotekę, jakiej mogłaby pozazdrościć niejedna stolica powiatu. Orowadzający nas dyrektor jest rzeczywistości zmęczony. Nie dziwnie, spędził tu cały dzień nie zdążywszy nawet zjeść obiadu. (Ma nie tylko te obowiązki. Jest sekretarzem jednej z organizacji partyjnych, pełni funkcję przewodniczącego Miejskiej Komisji Kultury oraz wiele innych). Opowiada o zmianach, jakie się tu dokonały, o tym co się planuje na przyszłość. Podkreśla dużą pomoc dyrekcji i rady zakładowej, wysiłek zatrudnionego tu zespołu. Ta pomoc zakładu i zrozumienie dla potrzeb Domu Kultury jest bodźcem do dalszej pracy i ona obok drobnych radości z różnych osiągnięć pozwala przezwyciężyć znużenie. WITOLD SZYMCZYK